Nr. 27. We Lwowie dnia 2. lipca 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

JÓZEF WIERZBICKI.

Śpiew rybaka — piraty

Jak chmury, co nieba oblicze obsiadły,
Tak sępią się smutki z mej twarzy wybladłej:
W samotnej mej łodzi w przestworza mknę sine,
Sam nie wiem, gdziem wczoraj przemierzał głębinę
I nie wiem, gdzie dzisiaj przecinam mgły zdradne,
I jutro, gdzie wiatr mię popędzi, nie zgadnę. —
Bez braci i domu, jak mewa bez gniazda,
Sam lecę gdzieś w bezmiar i wieczna mi jazda. —
Płakałbym, lecz każda łzy mojej kropelka
Twarz pali mi wstydem, więc mimo ból skryty, —
O nie płacz rybaku, ojczyzna twa wielka
Jak przestwór niebieski, jak morza błękity.

W gaiku, gdzie Regi błękitna toń świeci,
Ja miałem swą chatę, i żonę, i dzieci,
Lecz Duńczyk — wilk morski, obłowu wciąż chciwy —
Wpadł chyżo na brzeg mój jak strzała z cięciwy,
Jak piorun w perzynę obrócił mą chatę,
Wziął życie mych dzieci i łupy bogate
I odszedł jak wicher, odpłynął jak fala,
Co ludy zatraca i miasta obala. —
Płakałbym dziś jeszcze, lecz dusza mścicielka
Chce pomsty nad wrogiem, więc mimo ból skryty, —
O, nie płacz rybaku, ojczyzna twa wielka
Jak przestwór niebieski, jak morza błękity.

Skłamawszy mi przyjaźń, udając współbrata,
Kochankę mi uwiódł przewrotny Holzata;
I skrycie, zdradziecko, w godzinie biesiady
W kielichy przyjaciół mych straszne lał jady.
Widziałem na polach leżące ich ciała,
Twarz sina ich do mnie o zemstę wzywała. —
Tak lud mój wygubił w mej ziemi morderca,
Że była jak gdyby pierś pusta bez serca. —
Płakałbym dziś jeszcze, lecz dusza mścicielka
Chce pomsty nad wrogiem, więc mimo ból skryty —
O, nie płacz rybaku, ojczyzna twa wielka
Jak przestwór niebieski, jak morza błękity.

Na pustej mej ziemi, gdzie były me niwy,
Krzyczałem z rozpaczą: »Hej, wychodź kto żywy!«
Nie wyszedł nikt do mnie, w odpowiedź mi całą
Ach! tylko w ojczyźnie mej echo płakało! —
I odtąd w tej łodzi, co wrogów mych trwoży,
Przylatam do brzegów ich, niby bicz boży,
Tchem nawet zabijam i w jednej godzinie,
Znalazłszy kraj żyzny, zostawiam pustynie. —
Płakałbym dziś jeszcze, lecz dusza mścicielka
Chce pomsty nad wrogiem, więc mimo ból skryty, —
O, nie płacz rybaku, ojczyzna twa wielka
Jak przestwór niebieski, jak morza błękity.

Gdy łodziom Stormarsów groziła zagłada,
I pierzchły odemnie, jak morskich wron stada,
Gdy morski pies z Alzen skrył we mgle łeb płowy,
Jam wtedy do Fembry biegł sprawiać połowy,
I żagle zwinąwszy, krzyknąłem wichrowi:
»Pędź dalej, gdzie żaden już śmiałek nie łowi!«
I wicher popędził i były w noc ciemną:
Tu rozpacz w mej duszy, tam otchłań podemną,
Płakałbym, lecz każda łzy mojej kropelka
Twarz pali mi wstydem, lecz mimo ból skryty —
Bądź wesół rybaku, ojczyzna twa wielka
Jak przestwór niebieski, jak morza błękity.

*) Opowieść ta jest osnuta na tle stosunków, jakie wynikły na kresach zachodnich słowiańszczyzny w XII i XIII wiekach, kiedy ludność słowiańska, prześladowana w swych dziedzinach, zaczęła uciekać na wyspy morza Bałtyckiego w okolicach Jutlandji i stamtąd na lekkich łodziach pirackich wymykała się, pustosząc brzegi morza Bałtyckiego.

Wydawnictwo materjałów do historji powstania 1863—1864.

Tom IV. Zeszyty I., II. — Lwów, 1894.

Trzecia część tomu IV, „Romuald Traugutt i jedo dyktatura“, jest co się nazywa kapitalną sztuką wydawnictwa, wyrachowaną na efekt niezwykły, napisaną językiem poprawnym i niekiedy barwnym, obfitującą w tkliwe obrazy i patetyczne wykrzykniki. Wychwalano ją dawno przed wyjściem na świat i nie dziw: takie kunsztuki u nas zawsze się podobają, osobliwie płci pięknej, zwłaszcza kiedy się naprzód wysuwa postać czystego, pobożnego, doskonałego i nieszczęśliwego bohatera. Takim bohaterem wybrany został — dla formy — naczelnik ostatniego Rządu Narodowego, Romuald Traugutt. Myliłby się jednak bardzo ten, ktoby się spodziewał znaleść w tym zeszycie nową i wyczerpującą biografję tego męża. I piszącemu, chociaż go znał widocznie dość dobrze w Warszawie, wcale o to nie idzie. Wszystkie fakty przez niego przytoczone są dawno znane, nic nowego nie dodano — bo nowością być nazwanym nie może poetyczny, albo niby poetyczny opis litewskich „mateczników“ i leśnych bohaterów, pokazujący tylko, że autor Litwy wcale nie zna, a „skoki rysie i kopyta łosia« wziął sobie z Pana Tadeusza i — z Rodziewiczówny. (Str. 10, 11). Ponieważ Traugutt, zamknięty w sobie jak każdy Litwin, nie bardzo się znajomym wywnętrzał, jego przyjaciel i panegirysta musiał sobie pożyczyć dalszych szczegółów o swoim bohaterze, już nie z Mickiewicza, ale z Berga, który je znowu wziął od moskiewskich kolegów Traugutta — i takie jedynie wskazówki o przeszłości Romualda autor nam podaje. (Str. 39 Berg. T. III. 353, 354, 355). Owe pożyczki, dodane do fantastycznego i rozwlekłego opowiadania jedynej, a krótkiej i nieszczęśliwej, choć bardzo zaszczytnej kampanji Traugutta na Polesiu (Str. 40—50) stanowią zręcznie ułożone tło, na którem autor narzucił jaskrawemi barwami to, o co mu głównie szło, to jest gwałtowne oskarżenie „warchołów, anarchistów, czerwonych“ i wywyższenie „wszystkiego co było poważniejszem, światlejszem, doświadczeńszem i zasobniejszem w środki materjalne“, (Str. 53), tych zatem, którzy podług Pisma Świętego, chętnie cytowanego przez autora, trudniej wejdą do królestwa niebieskiego, niż wielbląd przejdzie przez ucho igielne (Mat. 19, 24). Od czasu zaś jak mąż „opatrznościowy“, jak go autor nazywa, zgniótł owych warchołów, którzy się wcale nie bronili (Str. 79), mianowicie Asnyka, Dobrowolskiego, Narzymskiego, Biechońskiego, ludzi ani poważnych, ani światłych, ani doświadczonych, ludzi bez żadnego talentu, ludzi, którzy ani w ojczystych dziejach, ani w ojczystej literaturze żadnego śladu nie zostawią w porównaniu z przyjaciółmi i protektorami autora — a głównie z Ks. Władysławem Czartoryskim — szanowny powieściopisarz (bo inaczej go nazwać nie mogę) bardzo mało nam wyjaśnia dalszą rzeczywistą działalność swojego dyktatora, daje nam tylko wiele szczegółów, często polemicznych, o jego życiu w ukryciu w Warszawie, o nominacjach rozmaitych dostojników i funkcjonowaniu machiny urzędniczej, o niezliczonych instrukcjach, których sami nominaci (biali) nie myśleli wypełniać (str. 109, 125), powtarza potem z Gillera streszczenie listów Rafała Krajewskiego i kończy dawno znanemi pięciu szubienicami na stoku cytadeli, 5 sierpnia 1864 r.

Z powyższego streszczenia można się przekonać, że owa opowieść, powieść raczej, jest sobie ładnie napisanem opracowaniem danego tematu, które byłoby zajmującem, a nawet do pewnego stopnia pożytecznem, gdyby nie owe tendencyjne oskarżenia, niesumienne i z u p e ł n i e n i e p r a w d z i w e, które mię do głębi oburzyły, chociaż dotyczą w wielkiej części moich ówczesnych politycznych przeciwników. Już to samo, że autor wybrał jako parawan postać czystą, wysoce szlachetną, wcale nie olbrzymią, jak utrzymuje, bo przecież Traugutt nic nie zrobił i zrobić nie mógł, a przedłużył tylko konanie powstania — postać skazaną na pewną śmierć, nie z bronią w ręku, jak na generała przystało, gwoli prywatnym interesom arystokracji i która złożyła głowę swoją bez szemrania, ale (jestem o tem przekonany) z zakrwawionem sercem — to samo jest taką profanacją, którejby się żaden porządny człowiek nie dopuścił. Nie myślę atoli całej winy autorowi przypisać. Z samego jego opowiadania wywnioskować można, że przybył do Warszawy dopiero późną wiosną r. 1863, że nie ma pojęcia o organizacji przedpowstańczej, że nie życzył sobie przepatrzyć to, co o niej napisane było, a gra rolę dobrze nakręconej katarynki dla cudzego śpiewu. Może nawet (bo czegoż na świecie nie bywa?) jest szczerym w swoich inwektywach, tak często od trzydziestu lat powtarzanych, że uważa je może za uzasadnione; wszak one są skierowane głównie przeciw poległym i nie mogącym się bronić, i dlatego tak mało na nie odpowiadano. Być to może — ale w niniejszym tomie czytelnik wcale takiego przekonania nabyć nie może, bo Wydawnictwo raczyło umieścić tuż obok owych niby pamiętników te, o których wyżej mówiłem, i w których można na każdej stronicy znaleźć dowody, że wszystkie, bez wyjątku wszystkie poglądy autora na przebieg powstania są zupełnie fałszywe. Co więcej, Redakcja pozwoliła sobie w licznych dodatkach i interkalacjach chwalić poszczególnie wszystkich tych prawie, których autor potępia *en bloc*, co rozbraja bardzo często oburzenie wysoce humorystycznym dodatkiem.

Rozumie się, że czytelnik nie znajdzie tutaj faktycznego, prokuratorskiego oskarżenia »warchołów« opartego na dowodach, jasnem wyliczeniu faktów, pewnych datach i dokumentach (tych n. p. autor wcale nie cytuje). Autor poprzestaje, jak całe jego stronnictwo, na bardzo mglistych ogólnikach, na wykrzyknikach i insynuacjach, z których można się domyśleć wszystkiego, co autorowi trzeba, tylko nie tego, co było. Klasyczny przykład takiej taktyki można znaleźć w »Doświadczeniach i rozmyślaniach« hr. Stan. Tarnowskiego, nie potrzebuję więc bliżej jej określać. Powiem tylko, dla przykładu że, oceniając działalność rządów narodowych, autor, oczywiście świadek i współdziałacz, ani słówka nie powiada o ich terroryzmie — zobaczymy dalej dlaczego; ale słowa: »terrorysta, terroryzm, anarchja, anarchista« powtarzają się ciągle i stosują się zupełnie dowolnie, tak jednak ażeby czytelnik w braku faktów sam potępił tych, których autor chce utopić. Dat także autorowi nie trzeba, a tam gdzie jest o tyle nieostrożnym, że je przytacza, łapie się najfatalniej, jak później dowiodę, ale nie każdy to spostrzeże.

Z tych wszystkich niedomówek czytelnik wyciąga jednak bardzo jasny wniosek, a mianowicie: że powstaniem kierowali i doprowadzili je do możliwej potęgi ludzie umiarkowani, poważni, na wysokiem społecznem stanowisku *(risum teneatis)* ludzie, którzy je jeszcze dawniej zorganizowali, jako to: ks. Czartoryski, ks. Y. (Lubomirski?), Karol Majewski, Wacław Przybylski, Oskar Awejde, Adolf Pieńkowski, Władysław Gołemberski, Józef Janowski, Marjan Dubiecki później Romuald Traugut, Rafał Krajewski, Roman Zuliński i inni, ludzie, którzy z największem poświęceniem wszystko przygotowali, prowadzili i podtrzymywali — a że na tle ruchu wyrosły skądciś »chwasty warchołstwa« (str. 101), »krzykacze i burzyciele« (str. 66), »szumowiny moralności publicznej i prywatnej (str. 51), ludzie, którzy nic nie robili, nic nie przygotowali, tylko bruździli i dobijali się władzy, ludzie bez żadnego społecznego stanowiska, bez talentu, bez odwagi żadnej, poprostu tchórze (str. 57, 61, 67, 73, 80), mianowicie.... Tu autor jest zbyt zręcznym, ażeby natychmiast po takich epitetach nazwiska wymieniać; mówi więc tylko bezpośrednio o Janie Wernickim (str. 51), Ignacym Chmielińskim i Ludwiku Mierosławskim *(passim)*; ale czytelnik domyśli się koniecznie, że do takich samozwańców i szumowin należeli w pierwszym rzędzie: Stanisław Frankowski (str. 61 78), Dobrowolski i Kobylański, n. b. sekretarz i mecenas senatu (str. 52), Adam Asnyk, Wojciech Biechoński, Józef Narzymski (str. 78), Władysław Kokosiński, Józef Piotrowski — tu oszczerstwo tak wyraźne, że się robi zastrzeżenie (str. 66) — i inni. A kto zna stosunki ówczesne, wie, że takie oskarżenie (gdyby go nie było nawet wyraźnie u Berga) dotyczy zarówno najbliższych towarzyszy, pomocników i jednomyślnych tylko co wymienionych mężów, Stefana Bobrowskiego, Zygmunta Padlewskiego (o nim ani pół słowa), Edwarda Rolskiego, Ignacego Maciejowskiego, Gustawa Wasilewskiego, Jana Karłowicza, Zwierzdowskiego (któremu Traugut nie ufał, str. 128), Zygmunta Chmielińskiego, Józefa Jankowskiego, Chądzyńskiego, Bronisława Deskura i wielu, wielu innych, poległych za sprawę »warchołów, burzycieli i samozwańców«.

Otóż śmiem twierdzić, że taki pogląd jest z gruntu zupełnie i bezwarunkowo fałszywy. Dość jednego słowa, by obalić całą misterną budowę oszczertwa. Wszyscy ludzie wymienieni na początku wcale powstania nie przygotowali, byli mu wręcz i zasadniczo przeciwni, wszędzie je hamowali, do organizacji przedpowstańczej nie należeli, (oprócz kilku, o których później), a kiedy się dostali podstępem do władzy, zabili je — wyłączam grupę Traugutowską, o której powiem osobno. Jest to moje stanowcze twierdzenie, a ponieważ należałem do organizacji powstańczej i do Rządu Narodowego (nazwanego wówczas Komitetem Centralnym Narodowym) od samego początku do samego prawie powstania, mam tu głos decydujący. Jeźli trzeba innych dowodów, znajdzie je czytelnik w tej samej książce. O Władysławie Czartoryskim zdaje się dowodów nie trzeba. Karol Majewski był głównym kierownikiem Dyrekcji białych przed powstaniem (str. 55) i wszelkiemi siłami przeszkadzał organizacji naszej i uwłaszczeniu chłopów, a układał się nawet z Wielopolskim, który go jednak odepchnął tak samo jak Zamojskiego i potem aresztować go kazał, skutkiem swojej zwykłej i bezbrzeżnej głupoty (zeszyt I. str. 181) Gołemberski i Pieńkowski należeli do grupy Jurgensa (I. 11), »która powstrzymywała od gorączkowych agitacji rewolucyjnych«; nie była to organizacja, jak pisze autor, z powodu Henryka Wohla, (II. 117) bo szeregowych nie było, a zasiadali sami przyszli ministrowie, gotowi skorzystać ze wszystkiego by dorwać się do władzy, to jest zrobić to, o co autor oskarża »szumowiny społeczeństwa« Żaden z tego koła, broń Boże, prochu nie wąchał i wąchać nie chciał, ale zato oskarżają teraz walczących o tchórzowstwo. To też ci panowie (str. 29) żadnego wojskowego, po Padlewskim, naszym ministrem wojny, do Rządu nie wpuścili, czemu się sam autor dziwi, ale niesłusznie; czyż mieli zawezwać Wysockiego, Kruka, Zwierzdowskiego, Zygmunta Chmielińskiego? Dobrze by wówczas wyglądał ks. Czartoryski!

Zdaje się wobec mojego twierdzenia, a wręcz przeciwnego powiedzienia autora »Traugutta«, można się zgubić w domysłach, bo jeden z nas musi koniecznie — kłamać. Niech się czytelnik uspokoi: nikt nie kłamie. Ja mówię najświętszą prawdę, którą mogą jeszcze teraz po-

twierdzić dziesiątki świadków, autor ma także najzupełniejszą słuszność, ale zapomocą zwykłego w jego stronnictwie nabożnego wykrętu, *vulgo* nazwanego jezuickim. Trzeba tylko przypuścić, że Rząd Narodowy istniał dopiero od marca 1863 roku, kiedy przyjął ten tytuł, a wyżej wzmiankowani karjerowicze dostali się do władzy, że od tego czasu datuje się organizacja, że biali, Jurgenszczycy i nawet Czartoryjczycy byli przedpowstańczą organizacją, która nie myślała nawet o uwłaszczeniu włościan i o Rzeczypospolitej — i szanowny autor może przysiądz na to, co powiedział. Prawda że jest w jego pułku Awejde, że są ci — n. p. Przybylski, Janowski, którzy należeli do Centralnych komitetów (*sic* str. 57) przedpowstańczych: ale *un peu d'e camotage, et le tour est fait*. Pozostaje mi tylko powiedzieć, co za ludzi autor liczy do »warchołów«, jak mężowie »poważni, umiarkowani, poświęceni i odważni« — o! bardzo odważni! — zabili powstanie, wybielić Trauguta i jego bądź co bądź uczciwych współpracowników z czarnych zarzutów na nich nałożonych przez autora w postaci pochwał — i moja praca skończona.

Bronisław Szwarce.



Z NOWSZEJ LITERATURY MAŁORUSKIEJ.

Literatura małoruska na Ukrainie znajduje się obecnie w takiem położeniu, że nietylko nie może się rozwijać normalnie, ale samo nawet jej istnienie jest zagrożone. Siedmnaście lat minęło od czasu, kiedy została ona na śmierć skazaną. Obecnie też nie może być mowy o jakimś poważniejszym ruchu literackim na Ukrainie. W Kijowie, w Charkowie, w Odessie, lub w Ekaterynosławiu ukazują się wprawdzie od czasu do czasu książki czyli raczej broszurki małoruskie, są to jednak rzeczy treści wyłącznie beletrystycznej: poezje, komedyjki, powiastki. O wydawaniu pism, bodaj beletrystycznych, lub dzieł naukowych ukraińcy nie mogą myśleć, gdyż nawet dzieła popularno-naukowe dla ludu są tam wzbronione.

Wskutek takiego stanu rzeczy prawie wszyscy pisarze ukraińscy przenieśli swą działalność na grunt galicyjski, gdzie też obecnie ogniskuje się cały ruch piśmienniczy Małej Rusi. Jeśli przejrzymy główne organa małoruskie, naprzykład »Zapiski« Towarzystwa im. Szewczenki, »Zorję« lub »Prawdę«, odrazu wpadnie nam w oczy to, że są one w trzech czwartych zapełnione przez prace ukraińców. Ten udział pisarzy małoruskich z za kordonu ma bardzo donośne znaczenie dla całej literatury, gdyż Galicjanie, ulegając wpływowi swych kolegów ukraińskich, poczęli zwracać większą uwagę na formę zewnętrzną swych utworów i więcej dbać o czystość języka. Swoją koleją ukraińcy, pozbawieni we własnym kraju szkół i instytucji naukowych, gdzieby się tak jak w Galicji mogło wyrabiać i ukształtować słownictwo naukowe, żywcem brali od Galicjanów wszystkie wyrazy potrzebne do oznaczenia pojęć oderwanych i termina naukowe. W ten sposób pomału wyrobił się wspólny język literacki, który obecnie może zadosyć uczynić wszelkim wymaganiom. Jeśli porównamy mowę, którą jeszcze przed dziesięciu laty posługiwała się większość literatów galicyjskich z językiem prac najmłodszego pokolenia, to będziemy musieli przyznać postęp ogromny. Z tej chropawej mieszaniny, zbliżonej raczej do okropnego żargonu, dziś jeszcze używanego przez moskalofilów, aniżeli do jakiegoś żywego języka w ciągu ostatniego dziesięciolecia zwolna wyrobił się giętki, podatny do wyrażenia wszelkich odcieni myśli, język literacki, który niewątpliwie odegra wybitną rolę w szeregu innych języków słowiańskich. Nic w tem dziwnego, gdyż małorusini stanowią najliczniejszy szczep słowiański po rosjanach. Nastąpić to jednak może tylko w razie zmiany całego systemu politycznego w Rosji, a do tego czasu literatura małoruska, spętana na Ukrainie i całkiem nienaturalnie zogniskowana w Galicji, gdzie mieszka zaledwie siódma część małorusinów, może się rozwijać bardzo słabo i stale będzie chorowała na suchoty, ponieważ stosunki galicyjskie, przynajmniej jak dotąd, wcale jej rozwojowi nie sprzyjają.

Uboga, nader nieliczna, a w dodatku rozbita na dwa nieprzejednane obozy*) inteligencja ruska w Galicji jest tak jeszcze zaśniedziała i zaskorupiała w swym konserwatyzmie, że przeraża ją wszelka myśl nowa, w czemkolwiekbądź niezgadzająca się z jej scholastycznymi pojęciami. Jest to rzecz całkiem zrozumiała. Duchowieństwo dotąd stanowi na Rusi halickiej ogromny procent inteligencji. Wskutek tego ciasny klerykalizm i nietolerancja względem wszelkich nowych prądów umysłowych przeniknęły społeczeństwo galicyjskie do szpiku kości. Literaci ruscy muszą oczywiście oglądać się na swych czytelników, pomiędzy którymi poważny zastęp stanowią księża. Z tego powodu wszelkie świeże prądy naukowe i literackie z ogromną trudnością torują sobie drogę w społeczeństwie rusińskiem. Jednakże w ostatnich czasach, pomimo wszystkich warunków, tamujących rozwój literatury, w Galicji znalazła się grupa pisarzy, która pod wpły-

*) Z których jeden t. j. moskalofilski gardzi mową ludu i używa takiej mowy, która nie jest ani rosyjską, ani małoruską, ani cerkiewną. Tylko najmłodszy odłam stronnictwa moskalofilskiego począł od niedawna używać czystego języka rosyjskiego. Ci młodzi moskalofile wydają dwutygodnik »Russkaja Biesieda«.

wem ruchu literackiego Europy zachodniej, potrafiła zrzucić z siebie skorupę wstecznictwa galicyjskiego i pchnąć literaturę w kierunku postępowo-demokratycznym. Mamy tu na myśli grono pisarzy, ogniskujących się przeważnie w t.z. stronnictwie radykalnem Stronnictwo to, rozporządzające kilku talentami literackimi i publicystycznymi niepoślednicj miary, rozwija, pomimo braku środków materjalnych, ożywioną działalność na polu literatury. Występuje ono ze śmiałą opozycją przeciwko narodowcom i moskalofilom, zręcznie wymierzając ciosy przeciwko wszystkiemu, co w nich jest godnem potępienia, jak: wstecznictwo, oportunizm, brak odwagi cywilnej, apatja i t. d. i w ten sposób pobudzając (przynajmniej narodowców) do energiczniejszej działalności. Co do moskalofilów, to cała ich działalność literacka jest bardzo nieznaczna, a ich organa upadają jeden po drugim. Są to morituri, którzy żadnej przed sobą nie mają przyszłości.

Literatura małoruska wzrosła w ciągu lat ostatnich potężnie, jednakże wzrost ten jest daleko znaczniejszy pod względem ilości wydanych w tym czasie utworów, aniżeli pod względem ich wartości artystycznej. Szczególnie na polu poezji daje się spostrzec ogromny przyrost sił nowych, które zalewają płodami (najczęściej poronionymi) swej twórczości redakcje pism galicyjskich i bukowińskich. Oprócz poetów starszej generacji jak Kulisz, Szczoholiw, Hlibów (+1893), Aleksandrów (+1894) na Parnasie małoruskim zjawiła się moc niezliczona rymotwórców i wierszokletów młodych, pomiędzy którymi tylko wyjątkowo zabłąka się od czasu do czasu talent prawdziwy, jakim jest naprzykład Włodzimierz Samijłenko, piszący najczęściej pod pseudonymem Syweńki. Samijłenko zajmuje obecnie niewątpliwie pierwsze miejsce pomiędzy poetami małoruskimi na Ukrainie. Poezje jego, nacechowane szczerem i gorącem uczuciem, odznaczają się wierszem artystycznie rzeźbionym. Śliczne są zwłaszcza jego drobiazgi satyryczne, w których dzielnie się posługuje bronią ironji i sarkazmu. Pod względem formy zewnętrznej, pod względem czystości i piękności języka przewyższa Samijłenko największego współczesnego poetę małoruskiego Iwana Frankę, niedorównywając mu jednakże głębokością myśli. W «Prawdzie» drukuje się bardzo gładki jego przekład »Piekła« Dantego. Prócz tego Samijłenko pracuje nad tłumaczeniem »Iljady«, której pieśń jedną drukował w »Składce« — almanachu charkowskim. W ogóle w ciągu kilku lat ostatnich pismiennictwu małoruskiemu przyswojona została znaczna liczba utworów literatury europejskiej. Na czele wszystkich tych tłumaczeń postawić należy świetny przekład »Odyssei« Homera, dokonany przez P. Bajdę (Niszczyńskiego). Wydając tę pracę, redakcja »Prawdy« wielce przysłużyła się piśmiennictwu rodzimemu. Niszczyński, znając dobrze język grecki, umiał wyśmienicie oddać wszystkie piękności oryginału lekkim, potoczystym, a dźwięcznym językiem ukraińskim, którym włada wybornie. Redakcja »Prawdy« ma podobno w tece »Iljadę« przełożoną również przez Niszczyńskiego, obecnie zaś drukuje »Matemorfozy« Owidjusza. Jednakże temu ostatniemu tłumaczeniu prawie zupełnie zbywa na zaletach, któremi się odznaczają prace Niszczyńskiego. Również niezbyt udatny jest przekład pierwszej części »Don Juana« Byrona pióra Kulisza. Do przełożenia poezji Heinego zabrali się trzej poeci, i we Lwowie prawie jednocześnie ukazał się »Wybór poezji« w przekładzie Iwana Franki i »Księga pieśni«, przełożona przez Maksyma Stawiskiego i Lesię Ukrainkę. Wszystkie trzy przekłady są udatne pomimo, że tłumacze mieli do przezwyciężenia nie małe trudności. Wspomniana wyżej Lesia Ukrainka wydała również zbiorek swych poezyj oryginalnych p. t. »Na skrzydłach pieśni«. Poezje te jednak niczem się nie odznaczają oprócz czystości i melodyjności języka.

Pod koniec roku ubiegłego we Lwowie pojawił się spory tom utworów poetycznych Iwana Franki p. t. »Z werszyn i nyzyn. Jestto znacznie powiększone drugie wydanie zbioru poezji Franki z r. 1887. Franko zajmuje obecnie wyjątkowe stanowisko w całej literaturze małoruskiej. Olbrzymi talent, głęboka wiedza i niepospolita pracowitość wyróżniają go z pomiędzy innych pisarzy małoruskich tak w Galicji, jak i na Ukrainie. Odznacza się on wielką płodnością i wszechstronnością uzdolnienia. Pominąwszy już jego działalność polityczną i publicystyczną jako jednego z przywódców stronnictwa radykalnego. niema prawie pola pracy, gdzieby Franko nie zajmował wybitnego stanowiska. Pisuje on śliczne obrazki z życia warstw pracujących, więźniów, żydów. dzieci; w powieściach »Boa Constrictor« i »Borysław się śmieje« odmalował wybornie życie robotników borysławskich; w powiastce »Na dnie« dał głębokie studjum psychologiczne i roztoczył ponury obraz stosunków więziennych. Jego powieść »Zachar Berkut« jest najlepszą po »Czornej Radzie« Kulisza powieścią historyczną w literaturze małoruskiej. Franko przełożył »Fausta« Goethe'go, »Kaina« Byrona, wydał w przeróbce dla dzieci »Don Kiszota« Cervantesa i »Reinecke Lisa« Goethego, napisał cały szereg rozpraw naukowych w języku polskim, ruskim i rosyjskim, stanął na czele wydawnictwa, które odrazu stało się najlepszym czasopismem na Rusi — jednem słowem, bierze on najczynniejszy udział w całym ruchu umysłowym Rusi. Poezje Franki to owoc istotnego natchnienia. Są one nacechowane niekłamanem uczuciem sympatji ku wszystkiemu, co cierpi, jest upośledzone, prześladowane. Przenika je szczera myśl demokratyczna, opromieniona jutrzenką lepszej przyszłości, ku której drogę wskazuje poeta spracowanym, gnębionym i walczącym tłumom. Niepospolitą siłą i energią dźwięczą »Kamieniarze«,

porywającą mocą bucha »Hymn« umieszczony na wstępie zbiorku. Istne perły poezji rozsypane są po kartach tego tomiku. Musimy jednak przyznać, że wszystkie nowsze utwory Franki z wyjątkiem chyba »Sonetów więziennych« znacznie ustępują jego poezjom dawniejszym, takim naprzykład jak »Idylla« lub »Żórawie«, nie mówiąc już o wspaniałym poemacie »Pańskie żarty«, który godnie może stanąć obok lepszych utworów Szewczenki.

W roku ubiegłym po raz pierwszy spróbował Franko sił na polu dramatycznem i dramat jego »Skradzione szczęście« spotkało niebywałe powodzenie. Jest to w istocie rzecz bardzo piękna, która świadczy, że i na tem polu Franko może się stać jednym z wybitniejszych autorów, nie obawiając się wcale współzawodnictwa najlepszych dramatopisarzy ukraińskich.

Dokończenie nastąpi.

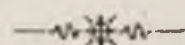


ZWALCZENI.

Dramat historyczny w trzech aktach.

Napisała

Helena Ceysinger.



(Ciąg dalszy.)

AKT II.

Sala pałacu Moncenigów w Wenecji podzielona na dwie części szeregiem kolumn maurytańskich. Ściany pokryte gobelinami, posadzka z mozaiki, sofy tureckie pod ścianami. Od sufitu spuszcza się kryształowy świecznik. Dwoje drzwi na prawo, dwoje na lewo. Wprost drzwi na balkon oświetlony dwoma lampami, które rzucają różnokolorowe światło. Wieczór.

SCENA I. Bianca. Moncenigo i Andrzej.

(Bianca z wachlarzem w ręku spoczywa na sofie, Andrzej na małym taburecie, siedzi u jej nóg).

ANDRZEJ. Za chwilę odjechać muszę. Przyszedłem pożegnać cię, pani. (Po chwili milczenia) Czy nie uzyskam przed odjazdem, ani jednego słówka, ani jednego spojrzenia?... Oczy twoje rozmarzone ścigają jakieś powietrzne widzenie, czemuż na mnie obrócić się nie raczą?

BIANCA. Jakiś sentymentalny Andreo! Oczy moje nie są rozmarzone i nie ścigają żadnego widzenia. Czy żądasz może bym jak rozkochana odaliska łowiła każdy promień twej źrenicy, dziękowała niebu za każdy uśmiech ust twoich?

ANDRZEJ. Nie. Ja niczego nie żądam, pani wiesz o tem, ja przyszedłem prosić o jedno spójrzenie łaskawsze. Pamiętam, gdy poraz pierwszy ujrzałem ciebie, siedziałaś w gondoli z bukietem białych róż w ręku. Wyjęłaś jedną, na bladych listkach złożyłaś pocałunek, potem rzuciłaś ją w morze, z uśmiechem wołając: Kto przyniesie mi różę, temu oddam dumne serce moje! Tłum młodzieńców pośpieszył ci na usługi, alem ja wszystkich uprzedził i przyniosłem ci kwiat, choć skropiony wodą, ale świeży, nietknięty. Wtedy łaskawiej spojrzałaś, wtedy lepszą byłaś dla mnie! Gdy będę umierał, każę pamięci wywołać obraz jedynego, szczęsnego dnia w mem życiu! Powiedz! Jeżeli nie chcesz, wyrzeknę się i tego wspomnienia, nie pomyślę o białej róży w godzinie zgonu. Będę cię chciał widzieć taką, jaką jesteś teraz z mgłą zadumy w czarnych oczach, z czołem muzy pogańskiej, wspaniałą, pyszną, jak ojczyzna twoja... Pani! Może ja ostatni raz widzę ukochaną postać twoją, nie odpędzaj mnie szyderstwem! Młodych dni moich byłaś cudnem kwieciem...

BIANCA. (unosząc się na sofie) Co to znaczy Andreo? Łzy w oczach? Ten ton żałobny? Czy rozstajemy się na zawsze?

ANDRZEJ. Nie pytaj pani! Ojciec wysyła mnie. Pozwól mi ucałować skraj twojej szaty i uciec!

BIANCA. Nie. Tak być nie może. Ja muszę wiedzieć wszystko. Czy to jaka wyprawa wojenna? (Kładzie mu rękę na ramieniu i stara się spojrzeć w oczy).

ANDRZEJ (spuszczając wzrok). Rozbójnicy albańscy napadają nas ciągle. Ojciec chcąc ukrócić tę swawolę urządza walną wyprawę i mnie powierza dowództwo.

BIANCA. (śmieje się) Ha, ha, ha! A pan płaczesz ze strachu przed rozbójnikiem i myślisz, że taką niewieścią słabością zdobędziesz serce kobiety takiej, jak ja?! Wstyd panie Andrzeju! Ojciec nie doczeka się pociechy z syna. No, życzę powodzenia. A za powrotem opowiesz mi pan, czy rozbójnik albański rzeczywiście tak straszny, jak się z daleka przedstawia...

(Andrzej stoi milczący ze wzrokiem utkwionym w ziemię).

BIANCA (staje przed nim. Przenikliwie). Pan nie powiedziałeś prawdy! (po chwili, groźnie) Nie przeciwko Albanji zwrócona broń wasza, zdrajcy! Bunt knujecie! (Andrzej cofa się przestraszony. Bianca ze śmiechem upada na sofę). Ha, ha! Jakiś ty dziecinny Andrzeju! Zawcześnie dziecko, pasowano cię na mężczyznę! Kto był tyle okrutnym, aby ciebie mięszać w spiski! Tobie powierzać misję podburzenia ludu weneckiego... (zatrzymuje się).

ANDRZEJ. (przerażony) Pani, kto ci powiedział?!

BIANCA. Nikt. Powiedziały mi oczy twoje przejrzyste. Od pierwszego dnia wyczytałam w nich posępną twoją tajemnicę. Tym ustom. do pocałunków stworzonym kazać kłamać!

ANDRZEJ. Pani, zaklinam cię, nie mów nikomu!

BIANCA. (klaszcząc w ręce) Brawo! Otóż to mi spiskowiec! Dzieciaku, cała Wenecja wie o tem.

ANDRZEJ. Nie, to być nie może. Pani szydzisz ze mnie jak zwykle, nie zważając, że twoje szyderstwo boli. Żegnam cię...

BIANCA. Nudno zrobiło ci się nagle w mojem towarzystwie?! Nie uciekaj spiskowcze, nie uciekaj wodzu powstańców! Słuchaj, pozostań przy mnie! Ta robota za trudna na twoje ręce. Szkoda tych pukli złocistych, by się zwalały krwią! (posuwa rękę po włosach Andrzeja, który wstrząsa się zarumieniony) Szkoda tej szyi młodzieńczej, by ją powróz kata otoczył! Żal by mi było tego niewinnego czoła, tych błękitnych oczu cherubina, gdyby cień śmierci objął je przedwcześnie...

(Drzwi otwierają się, wchodzi murzyn).

MURZYN. Jaśnie oświecony Doża i senator Grimani, pytają, czy mogą wejść?

BIANCA. Proś. (Murzyn wychodzi).

ANDRZEJ. Żegnam cię pani! (chce wyjść).

BIANCA (chwytając go za rękę). Zostań!

ANDRZEJ. Pani, przez litość, puść mnie!

(Wchodzą: Doża, Leonardo Grimani, Giorgio Monegario. Marco Loredano).

SCENA II.

Bianca, Andrzej, Grimani, Monegario, Loredano, Doża.

BIANCA. (postępując ku nim, z ukłonem do Doży) Czemuż mój wuju, mam przypisać zaszczyt tak niespodziewanych odwiedzin?

DOŻA. Widzisz nas, moja piękna siostrzenico w ciężkim kłopocie. Przyszliśmy po radę do ciebie i nie zawiodło nas natchnienie, albowiem spotykamy tu tego, który jeden jest w możności zaradzić złemu. Daruj więc, że już nie do ciebie, a wprost do niego się zwrócimy. (do Andrzeja) Miło nam niewymownie, panie Andrzeju, że ciebie tutaj zastajemy. Właśnie przez całą drogę imię twoje było na naszych ustach. On, on jeden, powtarzaliśmy sobie, mógłby rzucić most zgody z jednego brzegu Adrjatyku na drugi, on mógłby dwa państwa chrześcijańskie od rozlewu krwi uchronić i zjednoczone ich siły przeciw niewiernym skierować! (Andrzej od pierwszych słów robi gest przestrachu i zdziwienia). Zdajesz się być zdziwiony? Nie tajne nam nieporozumienie między szlachetnym ojcem twoim, a rzecząpospolitą wenecką. Na siwy włos mój, młodzieńcze, żal mi, że te niezgody w takiej właśnie wybuchają chwili! Myślałem, że nim noc wieczna zamknie stare oczy, ujrzę jeszcze klęskę półksiężyca. Myliłem się podobno. Dawne, dawne to dzieje! Miałem brata, dziwnej piękności młodzieńca i nigdy podobno braci goręstsze nie ożywiało uczucie. Rysami i wyrazem twarzy przypominasz mi go, panie. Tego brata uduszono mi haniebnie w więzycach stambulskich. Przysiągłem zemstę. Pół wieku pracowałem na nią. Na wszystkich dworach Europy, niby ziarna na posiew, rzucałem myśl wielkiej, wspólnej wyprawy na nieprzyjaciół Krzyża. Posiew wschodził powoli, przecież chwila zbioru nadeszła. Najpotężniejsi władcy chrześcijańskiego świata, oświadczają się z gotowością wyruszenia na Turków, ale im weneckiej siły morskiej, weneckich flot potrzeba, a Wenecji Dalmacja chce tymczasem krew z serca wytoczyć, i oto zejdę do grobu, widząc jak wróg mój na chrześcijańskich karkach stopę trzyma! Smutno młodzieńcze! Wstyd i żałoba nam: (milczy, z głową spuszczoną. Po chwili) A jednak ty, ty mógłbyś boleść starca, ty mógłbyś ból całego chrześcijaństwa ukoić!

ANDRZEJ. (pomięszany) Nie rozumiem, jaśnie oświecony panie, co znaczą słowa wasze i dla czego tak ważną naznaczacie mi rolę? Jakim sposobem ja, nie będący jednym z owych władców, od których losy świata zależą, mógłbym tylu wiekopomnych rzeczy dokonać?

GRIMANI (żywo). Jeśli słów jaśnie oświeconego Doży zrozumieć nie chcesz, postaram się jeśniej ci je wytłómaczyć. Nie jesteś jednym z władców świata, ale jesteś synem twego ojca i wiemy, (powoli, z naciskiem), że w przyszłem powstaniu... (patrzy mu się bystro w oczy. Andrzej opuszcza wzrok)... tobie powierza dowództwo nad większą częścią wojsk swoich...

ANDRZEJ (przerywając). Ależ to jakiś nieporozumienie, panowie! Wyprawa na Albanję...

DOŻA. Proszę cię signor Andreo, nie chciej nas uważać za wrogów. Otoś jest pośród nas, widzisz, że tajemnicę twoją znamy, że moglibyśmy stawić cię przed naszymi sądami oskarżonego o zdradę stanu, a przecież zamiast tego przychodzimy zaproponować ci układ. Czy sądzisz, że potępiamy twego ojca? Bynajmniej! Pojmuję jego pobudki i uznaję, To mogło być słuszne dawniej. Ale niechże już będzie koniec nienawiści i niezgodom krwawym. Zaufanie wzajemne i miłość bratnia niech je zastąpią. To była jedna z myśli mego życia. Stara niechęć twego ojca przerażała mnie, wiedziałem, że nie przyjmie wyciągniętej ku niemu ręki, ale ty żyłeś między nami i zdawało mi się, że nie jesteś nam wrogiem... Do młodych należy przyszłość! Oto układ! Wenecja usunie załogi swoje ze wszystkich portów waszych, uzna zupełną niepodległość Dalmacji z tytułem księstwa, a w zamian prosi cię, mości książę, o wieczyste z nią przymierze. Niech mieszkańcy jednego i drugiego kraju uznają się za synów jednej matki, niech Dalmacja w każdej wyprawie wspiera nas męztwem dzielnych synów swoich! No, czy podasz mi rękę, książę?

C. d. n.



Przekłady z języka polskiego.

»Wiestnik Jewropy« zamieścił poezje Asnyka, Krasińskiego, Lenartowicza i Gomulickiego w przekładzie p. Gerbanowskiego. W dzienniku petersburskim »Birżewyja Wiedomosti«, znajdujemy następujące utwory polskie: »Ich syn« Hajoty, »Nasz mały« W. Kosiakiewicza i cykl sylwetek M. Gawalewicza, objętych jedną nazwą »Żony«. Pismo obrazkowe »Siemja«, wychodzące w Moskwie, podało »Awans« i »Pajęczynę« J. Rutkowskiego, oraz »Barkarolę« M. Gawalewicza. »Dwa bieguny« E. Orzeszkowej ukazały się w Moskwie nakładem znanej firmy »Posrednik«, powieść ta była już drukowana w miesięczniku »Wiestnik Jewropy«. W dodatku do pisma »Nowoje Wremia« znajduje się przekład nowelki G. Zapolskiej, »Nareszcie sami«. »Pierwszy kwiatek« M. Gawalewicza został umieszczony w fejletonie »Kijewlanina«. Inny dziennik kijowski »Żizń i iskusstwo« drukuje »Tchnienie nieskończoności«. W wydawnictwie pani Uixkule Hylleband wyszedł »Jurgis Durnialis« Brolisa w przeróbce dla ludu, dokonanej przez L. Wasilewskiego.

W czeskiej »Niwie« ukazała się powiastka M. Konopnickiej »Chłopskie serce«, w przekładzie J. Zalużana. »Zabawni Listy« podały »Podróż do Wiednia« Kamertona, przełożoną przez V. Szuhaja. »Hlas Narodu« umieścił w swych łamach nowelę A. Dygasińskiego »Na łodzi«.

M. Bałuckiego „Burmistrz z Pipidówki“ wyszedł po niemiecku. Również w języku niemieckim ukazały się »Szkice« A. Szymańskiego, przełożone przez p. Elizę Hübner. Wiedeńska „Deutsche Zeitung“, drukuje »Błędne koło« Hajoty; poprzednio zamieściło to pismo powieść: J. J. Kraszewskiego „Brühl“. W miesięczniku „Altpreusische Monatschrift“, znajdujemy pracę A. Lewickiego »O prawno państwowem stanowisku Litwy do Polski w czasach Jagiełły i Witołda«. W praskiej »Politik“, zamieścił p. H. Monat bardzo ciekawe studjum o poemacie J. Słowackiego: »W Szwajcarji«, przeplatane licznymi ustępami tego utworu; w tem samem studjum znajduje się przekład poezji J. Słowackiego „Przekleństwo“. Powieść Sewera Maciejowskiego „Nafta“ ma wyjść w przekładzie angielskim. *L. W.*

Rozbiory i sprawozdania.

Edward Kloc. Powieść T. T. Jeża. — Warszawa 1894.

»Edward Kloc był bardzo porządnym chłopcem, bardzo porządnym młodzieńcem i bardzo porządnym człowiekiem«. Powyższa charakterystyka szanownego autora wystarczyłaby dla skreślenia wizerunku Edwarda Kloca, gdyby nie to, że zakochała się w nim miljonerka-rozwódka i wzięła go do siebie na utrzymanie. Skutkiem tego Edward Kloc stanął w kolizji z jej synem wyrostkiem i jej ex-mężem, którzy go pewnego poranku wyszczuli z pałacu pięknej pani. Są w tej noweli sceny bardzo charakterystyczne i dobre — można je przeczytać z żywem zajęciem. Jedyną wadą utworu jest to, że styl szanownego autora miejscami jest rozwlekły, na czem traci jędrność charakterystyki Kloca Autor pisuje czasem takie komentarze do pojedyńczych wyrazów: »W sali było prawie pusto. Mówię »prawie«, bo kilka osób ginących w przestrzeni, nie pozwalały nazwać jej zupełnie pustą«. W ten sposób ponieważ na jeden zrozumiały dla każdego wyraz przypada tu czasem dwa wiersze komentarza, nowela urosła na powieść o 150 stronach. *A. P.*

Po Jantar (Bursztyn). Wyprawa kupiecka do ujścia Wisły z rozkazu cesarza Nerona. — Napisał Szczęsny Morawski. — Kraków 1894.

Rzymianin Aeliusz August przehulawszy w biesiadach majątek, postanawia szukać szczęścia w wyprawie po bursztyn. Chwilowo Neron zapragnął go dla ozdoby swych sprzętów i naczyń. — Aeliusz, dobrawszy sobie towarzyszy: kupca Fenika (fenicjanina) i łowców Ursyna i Sylwana, udaje się ku Bałtyckiemu Pomorzu. W dzieje podróży Aeliusza wplątane są przygody najrozmaitsze, które autor odcyfrował z nagrobków, podań i własnej fantazji. Przedewszystkiem zaś Sarmaci występują w licznych epizodach. Występuje Krak i Wanda, i szewc Skuba, i smok podwawelski, (niemcy, pobierający myto na Wiśle), i Litwini, i Kriwa, i Jadźwingowie. Są sceny na morzu, wojenne sceny, dziwaczne przygody łowieckie i t. d. Ażeby jednak wyłuskać to wszystko, należy przebrnąć przez erudycję p. Morawskiego.... »Homer i Hezyod opisują naszyjniki osadzane jantarem. Eschylos i Sofokles pisali o nim. Eschylos zasłyszał, że go czerpią w rzece, Rodanem zwanej i był pewnym, że to w Rodanie czyli Erydanie Iberyjskim. Herodot już sprostował myłkę zapewniając, że jantar pochodzi z morza północnego. Filemon twierdził, iż go kopią w Skitji: jeden biały i woskowany zwan elektron, drugi w innem miejscu zwan subalterniens.. Pytheas, który (r. 380) na okręcie fenickim z Massylji pławił (?) na morzu północnem, pisze: Gatony zamieszkują zalew morza Wielkiego zwany Mentonomon, długi 6.000 staj....« Na 300 stron książki p, Morawskiego nie mniej jak 200 kwalifikuje się do oceny fachowych historyków, archeologów, etnologów i t. d. Ja zaś zdając sprawę z pozostających 100, mogę tylko powiedzieć, iż ich autor nie jest najtęższym beletrystą między uczonymi. *A. P.*

Przegląd pism.

Bibljoteka Warszawska. Czerwiec 1894.

Studjum historyczne, p. t. »Początki teatru i dramat średniowieczny«, pióra A. Brücknera, prof. uniwersytetu berlińskiego, rozpoczyna czerwcowy zeszyt »Bibljoteki«. Autor postawił sobie zadanie ściśle historyczne i zamierza pomówić obszerniej o początkach teatru u Słowian zachodnich, mianowicie u Czechów, Kroatów i Polaków.

K. R. Żywicki w dłuższym artykule p. t. »W Białym grodzie« kreśli szereg swych wrażeń z pobytu w Ameryce i z wystawy w Chicago.

Zwykłe działy: kronikarski oraz sprawozdawczy i bibljograficzny dopełniają zeszytu, w którym beletrystykę reprezentują: dalszy ciąg »Rodziny Połanieckich« Sienkiewicza i nowella Radziwiłła p. t. »Pedro«.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.